

NIESAMOWICIE MOCNA HISTORIA, OD KTÓREJ SIĘ NIE UWOLNISZ.
„PERFECTE BUREN”



WYKORZYSTAJĄ
JE DO KOŃCA.

ZABIORĄ
IM WSZYSTKO...

PO KAWAŁKU.

ZAUFAM MI

...nawet jeśli w tym świecie nie powinno się tego robić...

ANDERS ROSLUND

ALBATROS

Tytuł oryginału:
LITAPÅMIG

Copyright © Anders Roslund 2021
All rights reserved

Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Inga Sawicka 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: © Michelle Newnan/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ŚWIATŁO, KTÓRE SZUKA JEJ OCZU, jest silne, może dlatego przy-
mknęła lekko powieki. Leży z wyprostowanymi nogami i z ra-
mionami wyciągniętymi wzdłuż boków, ma dość miejsca na
stopy i barki. Nie jest jej zimno. Piękne prześcieradło utkane z
lnu jest grubsze, niż się wydaje; to jedno z tych, które się czuje,
choć nie ciąży – otulają, a nie uwierają. Jest naga, blada, a
właściwie biała, jak w zimie, choć wciąż jest lato; jej skóra jest
miękką, jakby była rzadko wystawiana na słońce. Niektórzy go
unikają, noszą szerokie spodnie i obszerne swetry; widocznie
ona jest jedną z takich osób.

W głębi otwierają się drzwi.

Lekki trzask, ciche metaliczne zgrzytnięcie, potem coraz
bliższe kroki, buty z twardymi obcasami wbijającymi się w pod-
łogę, bo to właśnie taka podłoga, czyli cienka plastikowa wykładzina na betonowej posadzce.

Ona zapewne go nie słyszy.

Bo przecież powinna poruszyć lekko głową, odwrócić ją
ostrożnie w stronę człowieka, którego nie zna.

STAJE W ODLEGŁOŚCI METRA, może dwóch od kobiety. Jest młoda i piękna. Ma ciemne, długie włosy, lekko podkręcone na końcach, jest delikatnej budowy, wydaje się krucha, te ramiona nie musiały podnosić ciężarów, uda i łydki nie chodziły zbyt daleko.

Ich spojrzenia nie spotykają się. Kobieta leży spokojnie. Być może czuje zapach mężczyzny w średnim wieku, gdy ten się nachyla, spocony jak wtedy, gdy dzieje się coś niedobrego, zapach ciepłego oddechu, który przypomina o wypalanej połówce papierosa i wypitej filiżance czarnej kawy.

Kobieta wygląda zupełnie tak samo jak tamte. Zawsze są do siebie podobne. Zwłaszcza z oczu i ust. Mężczyzna zastanawia się, czy kiedykolwiek się śmiała – może tak – i chciałby wiedzieć, jak to brzmiało, kiedy była radosna.

Nachyla się i kładzie dłoń na jej nagim barku. Jego oddech owiewa jej policzek. Zdezorientowany mężczyzna rozgląda się po pomieszczeniu, patrzy na stojące na środku nosze.

Nie rozumie.

Nerki zostały usunięte po śmierci – nie ma podwiązanych naczyń krwionośnych, w jamie brzusznej nie ma nagromadzonej krwi.

To samo z sercem.

Wątrobą.

Trzustką.

Płucami.

Z rogówkami oczu.

Ze szpikiem.

Nawet z przysadką mózgową.

Co innego jajniki. Te zostały usunięte za życia.

Widać to po ranie, która jest prawie zagojona.

Osoba, którą pozbawiono nerek, płuc, trzustki – to dla niego
jeszcze zrozumiałe.

Ale jajników?

Za nie nigdy im nie zapłaca.

SPACERUJĄC, LUBIŁA ZWRACAĆ TWARZ ku chmurom na niebie. Szła powoli wzdłuż Wilejki, prawie jak po omacku. Minęła otwartą już od świtu śniadaniownię, starą opuszczoną wieżę i szkołę, która jakby przycupnęła, żeby zmieścić się między fabryką a stacją benzynową. Teraz podeszła do mostu, który zmienił Kalwariję gatwę w pięciopasmowe proste ramię wyciągnięte ku sercu miasta. Za dużo tego ranka myślała, więc na ostatnim odcinku prowadzącym do ciężkich żelaznych drzwi czteropiętrowego podniszczzonego domu z cegły musiała przyspieszyć.

Alena Slijusareva niosła w jednej ręce papierową torebkę z sękaczem, zawsze z tej samej piekarenki na rogu, od przyjaźnie uśmiechniętej starszej kobiety pytającej o zdrowie. Sękacz obracał się na rożnie nad ogniem tak długo, że smakował jak dawniej, gdy dni wydawały się zwyczajne i bezkresne.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Już tam siedziały, na sofie obitej kwiecistym materiałem. Chudziutki, spoglądające niepewnie, milczące.

Bliźniaczki. Duplikaty. Lustrzane odbicia siebie.

Jesteście ostatnie, pomyślała. Już nigdy więcej.

Nasypała kawy i nalala wody do ekspresu, pokroiła sękacz na kruszące się cienkie kawałki, położyła je na talerzu z grubej blachy i postawiła go na środku stolika.

Z mężczyzną spotkała się już wcześniej; domyślała się, że jest po czterdzieście. Miał grube, spierzchnięte wargi okolonie niechlujną brodą, siedział rozparty w fotelu, podczas gdy

dziewczyny patrzyły przed siebie, prostując się podświadomie na sofie.

– Proszę się częstować. Śakotis, nie za słodkie, najlepsze w całym mieście. – Alena podsunęła im talerz z sękaczem.

Młode kobiety patrzyły na mężczyznę, dopóki ten nie kiwnął głową; dopiero wtedy odważyły się jednocześnie wziąć po kawałku.

– A potem ubranie – rzuciła.

Spoglądały na nią, słyszały ją, ale się nie poruszyły.

– Jak już zjecie.

Mężczyzna nie wziął ciasta, grzebał w kieszeni marynarki. Paczka papierosów. Wyszperał niedopałek i zapalił go.

Alena westchnęła.

– To jest, jak oboje wiemy, przychodnia lekarska – powiedziała.

Uśmiechnął się do niej, zaciągnął się raz, przy drugim razie ponownie się uśmiechnął i wydmuchał dym, tak że między nimi powstał śmierdzący obłoczek.

Wstała, trzasnęła go mocno w policzek, wyrwała mu papierosa i zgasiła na jego udzie.

Władza.

Trzeba ją utwierdzać wciąż na nowo.

– Co do was obu... Jeśli mam wam pomóc, to musicie się rozebrać.

Ależ one ładnie składały ubrania, jednocześnie i zupełnie tak samo, w dwie identyczne kupki. Na dworze było lato, czerwiec, powietrze w budynku wciąż jednak było chłodne i przesycone wilgocią, która nigdy nie opuszczała domów nad brzegami rzeki, więc dziewczynom zrobiło się zimno i przytuliły się do siebie, przez co wydawały się jeszcze drobniejsze.

Alena wstała i dała znak, że oczekuje od nich tego samego – mają stanąć przed nią – po czym je okrążyła, przyglądając się. Próbowaly stać nieruchomo, widziała, że się starają, lecz ich gołe stopy na posadzce i nieosłonięte ciała wyraźnie wołałyby znaleźć się gdzie indziej. Spojrzeniami szukały okna, jakby mogły przez nie uciec, a Alena razem z nimi – środkiem rzeki sunął

mały statek pasażerski, na brzegu Wilejki wylądowało stado ptaków, słońce rozmywało kontury i w świetle na zewnątrz wszystko robiło się aż za jasne. Otworzyła okno na oścież, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza i wypchnąć wilgoć, bo w pokoju nie powinno być zimno, kiedy na zewnątrz jest lato.

Pod jej dłonią ramiona i biodra dziewcząt były chudziutkie, a policzki tak gładkie, na jakie wyglądały. Kiedyś to ona tu stała. Przesunęła palcami po długich i lśniących włosach, po miękkich szyjach i delikatnych podbródkach; rozchyliła uszmkowane wargi, odsłaniając zdrowe i białe zęby.

– Dwadzieścia dwa lata? – zwróciła się do mężczyzny w fotelu.

– Tak. Dwadzieścia dwa.

– Nie. – Pokręciła głową.

Uciekł wzrokiem, nieznacznie, ale jednak, chociaż miał nadzieję, że ona nie zauważy.

– Dwadzieścia jeden – sprostował.

– Chcesz powiedzieć: dwadzieścia?

– Tak.

– Tak?

– No tak... Dziewiętnaście.

Pogładziła dziewczyny po policzkach, tym razem wierzchem dłoni.

– Ile macie lat?

Próbowały złowić jego spojrzenie, żeby udzielić poprawnej odpowiedzi.

– Pytam was – zwróciła się do nich Alena. – Chcę, żebyście wy odpowiedzieli.

Odwróciły wzrok umalowanych oczu.

– Ile macie lat? – Podniosła głos. – Ile macie lat?

– Osiemnaście.

– Osiemnaście?

– Prawie.

Alena przeszła do pokoju obok, gdzie przy biurku w kącie siedział w milczeniu starszy mężczyzna w białym fartuchu, ze stetoskopem na szyi. Teraz jego kolej.

Obie młode kobiety oddychały głęboko, kiedy lekarz osłuchiwał ich serca i płuca, leżały na wznak, gdy czubkami dwóch palców dotykał ich stóp, by stwierdzić, że puls jest normalny.

– Teraz proszę wyciągnąć lewe ramię. – Wziął linijkę z jasnego drewna i przyłożył do dwóch wystających lekko kropek na przedramionach. – Pamiętacie uklucie do testu tuberkulinowego z poprzedniego razu?

Westchnęły jednocześnie.

– Tym razem nie będzie bolało. Zmierzę tylko te kropki dokładnie tutaj... Widzicie?

Mruknął coś, zanotował i przeniósł wzrok na Alenę.

– Chyba wszystko w porządku. Tak samo jak poprzednie badania.

Nigdy jej się nie podobał ten starszy lekarz.

– Jest pan pewny?

– Tak.

Pamiętała, jak dotykał również jej ciała.

Ale najbardziej pamiętała ten ostatni raz, kiedy usunął z niej życie.

– Zupełnie nic? – naciskała.

– Żadnych stanów zapalnych. Normalny poziom cukru. Żadnego zapalenia wątroby, żadnych chorób wenerycznych, w moczu nie ma białka. Negatywny test na HIV. A test tuberkulinowy wraz z rentgenem płuc wskazują, że nie ma gruźlicy.

– A epikryza?

– Leży na biurku. Gotowa i poświadczona. Moje podsumowanie z pełnym wywiadem i obszernym opisem, że obie zostały poinformowane o konsekwencjach i ryzyku. Zaświadczam o ich motywacji, o tym, że naprawdę tego chcą, i podaję związek z biorcą, kuzynką... Tak zwykle piszemy. W załączniku są wyniki dodatkowych badań na kreatyninę i cystatynę C... bardzo dobre wskaźniki filtracji kłębuszkowej GFR. Pusta jest tylko rubryka z datami, bo zazwyczaj chcecie, żeby minęło kilka lat, a wtedy możecie ją w odpowiednim momencie sami wypełnić.

Usiadł w fotelu za biurkiem, podczas gdy dziewczyny stały nago na środku pokoju w miejscu, gdzie światło jarzeniówki

odbijało się najmocniej od bladej skóry.

Alena spróbowała się do nich uśmiechnąć. Zrobiło im się jeszcze zimniej.

– Możecie się już ubrać – nakazała im. – Posiedźcie chwilę na sofie, tej w wielkie kwiaty.

Odczekała, aż młode kobiety oraz towarzyszący im mężczyzna opuszczą gabinet lekarza, po czym przeszła do otwartego okna i przez chwilę wypatrywała słońca, które schowało się gdzieś za chmury. Wybrała na komórce numer, który znała na pamięć, i zaczęła mówić po angielsku, który mieszała ze szwedzkim i pojedynczymi litewskimi słowami, gdy już nie dało się inaczej.

– Żadnych chorób.

Osoba po drugiej stronie domagała się więcej informacji.

– Dobre włosy, zdrowe zęby.

To samo co zawsze, tylko jeszcze więcej.

– Drobnie piersi, jasne włosy łonowe, nogi bez widocznego umięśnienia.

Alena skierowała wzrok do sąsiedniego pokoju, w stronę na wpół opróżnionych filiżanek z kawą i resztek sękacza wabiących brzęczące muchy – brzmiały podobnie do tego głosu, który nie przestawał drażnić.

– I?

– Idealna dokumentacja z wywiadu lekarskiego.

– Krew?

– Też idealna.

– Czyli?

– Grupa zero. Pasuje do prawie wszystkich, jest na nią największy popyt, kolejka do niej jest najdłuższa.

Osoba ze zniechęconym przez nią głosem wreszcie była zadowolona.

Gdy Alena rozłączyła się, chmury na niebie się rozeszły i poczuła na twarzy ciepło.

Już niedługo. Zostawi to za sobą.

– To tyle – powiedziała. – Wszystko na dziś.

Lustrzane odbicia czekały, jak im kazano, na kanapie, siedząc

blisko siebie, niemal jedna na drugiej.

– Naprawdę wszystko?

– Słowo, już nie musicie marznąć. Jutro wyjeżdżamy.

– Jesteśmy... – Zwróciły się do swego towarzysza. – Naprawdę, *têtis*? Całkiem gotowe?

Skinał głową.

– Tak. Wy jesteście gotowe. Ale nie ja. – Spojrzał na Alenę z tym samym lekko pogardliwym uśmieszkiem co wtedy, gdy dmuchnął na nią dymem z papierosa. – Nieprawdaz?

Patrzyła mu w oczy na tyle długo, że poczuł się niekomfortowo, a następnie podała mu pękatą kopertę.

– Połowa teraz, połowa w Sztokholmie po dostawie. – Nie wypuściła jej, gdy ją chwycił. – Okej?

Nadal się uśmiechał.

– Okej. Drugie tyle otrzymam w Sztokholmie.

Gdy w końcu Alena puściła kopertę, zgniótł ją i wcisnął do wewnętrznej kieszeni marynarki przesiąkniętej dymem.

Wyszła razem z nimi. Wiał lekki wiatr i było przyjemnie ciepło. Pożegnały się jak osoby, które choć właściwie się nie znają, już za sobą tęskniły; objęła dwa chudziutkie ciała o twarzach i ruchach udających pewność siebie, przez co wydawały się jeszcze bardziej niepewne.

– A, właśnie... – odezwała się jeszcze, na co odwróciły się jednocześnie. – Ciekawa jestem... która z was jest która?

Zachichotały nieśmiało.

– Vilma to ja.

– A ja jestem Zelma. Z maleńką, malusienką brązową plamką o tu... na górze policzka.

Alena nachyliła się, żeby zobaczyć, i w tym momencie dziewczyna po raz drugi objęła obcą kobietę, która zadała sobie trud, by spytać ją o imię.

– Zobaczmy się wieczorem – szepnęła Alena. – Na pokładzie.

Ostatni raz, pomyślała.

Podjęła decyzję: nigdy więcej.

Żadnych dziewcząt więcej.

Potem, patrząc, jak chudziutkie plecy znikają z tyłu ciasnego samochodu, pomyślała o innej młodej kobiecie, która stała w innym pokoju, podczas gdy inne oczy wokół niej w szerokim kręgu mierzyły jej nagie ciało tak samo jak ona przed chwilą. Przełknęła coś, co mogło być łzami, i patrzyła za samochodem, zostawiającym za sobą silny zapach oleju napędowego, aż w końcu przyspieszył, oddalił się i przesłoniły go brzydkie bezbarwne domy.

Tētis?

Tak się do niego zwracali.

A przecież wiedziała.

Wszyscy zawsze udają.

Mężczyzna prowadzący ten samochód nie był ich tatą.

– EWERT?

– Tak?

– Strzelaj!

Stopy stoją mocno na twardym podłożu. Prawe ramię nieruchome, ale bez napięcia mięśni.

Wdech, wstrzymać oddech, wciągnąć na kilka sekund brzuch i – bardzo powolny – wydech.

W tym momencie Ewert Grens wystrzelił.

– Mogę...

Odgłos strzału wybrzmiał równie szybko, jak powstał.

– ...sprawdzić, Ewert?

– Jeśli obiecasz, że nie będziesz się śmiał.

Emil spiął chude dwunastoletnie ramiona i pospieszył sprawdzić tarczę.

A potem... potem się roześmiał.

– Przepraszam.

– Obiecałeś! – przypomniał mu Grens.

Chłopiec śmiał się dalej.

– Kłamałem.

Ewert Grens też się w końcu zaśmiał.

Bo na strzelnicy w podziemiu sztokholmskiej komendy policji jeszcze nie widziano gorszego strzelca. W kwartale ulic na wyspie Kungsholmen, gdzie znajdowało się ścisłe centrum zarządzania szwedzkiej policji i gdzie policja sąsiadowała zarówno z Interpolem, jak i z NOA, Narodowym Wydziałem Operacyjnym.

– Dwójka, Ewert! – zawołał chłopiec. – I to tylko dlatego, że jestem dla ciebie miły! Bo to właściwie jedynka... chociaż może jak się tak przyjrzeć bardzo dokładnie, jest właściwie na granicy, więc niech ci będzie, że dwójka. A to i tak twój najlepszy strzał jak dotąd! Jak ty w ogóle mogłeś zostać inspektorem policji?

Czarne kółeczko w środku kwadratowej tarczy z dykty, oznaczone liczbą 10, było nienaruszone.

Podobnie jak otaczający je cienki okrąg z cyfrą 9.

I te z 8 i 7, a także 6, 5, 4 i 3.

Natomiast okręgi z cyframi 2 i 1 oraz spora część pustej białej przestrzeni poza tym zewnętrznym zostały przecięte długą serią strzałów z pistoletu.

– Za szybko też nie biegasz – zauważył Emil. – Ledwo potrafisz podskoczyć czy śledzić z ukrycia. Więc co ty tutaj robisz? Co ty właściwie umiesz?

– Myśleć.

Chłopiec wierzchem dłoni startł łzy, które popłynęły, kiedy się śmiał, i przetarł oczy.

– No tak, myśleć to ty umiesz – przyznał. – Zgadza się.

– Sądzę, że myślenie może być dużo skuteczniejsze od skakania, biegania czy strzelania, kiedy inspektor policji kryminalnej próbuje zrozumieć, dlaczego sprawca ranił albo zabił człowieka. Przecież nie ma mnie na miejscu, kiedy dochodzi do przestępstwa. Zjawiam się dopiero potem, czyli muszę sobie po wszystkim w jakiś sposób wyobrazić i poskładać to, co się stało.

Emil znów zachichotał i po chwili nie mógł przestać się śmiać.

– Ale... – W jego oczach ponownie pojawiły się łzy. – No więc, Ewert... szczerze... – Wyjął z ramy tarczę strzelecką i pomachał papierem, który w znacznej części był nieuszkodzony. – Co to jest? Zabiorę to na górę, okej? Do twojego gabinetu. Ma trafić na ścianę za twoim biurkiem.

Następnie zrobili to co zawsze: przechodzili z budynku do budynku przez zamknięte szklane drzwi, które chłopiec otwierał, korzystając z plastikowej karty, aż doszli do ostatnich, prowadzących do wydziału dochodzeniowego stołecznej policji.

Weszli do gabinetu, który trzydzieści lat wcześniej stał się dla Ewerta Grensa prawdziwym azylem, kiedy brakowało mu odwagi, żeby wrócić do domu i spać w opustoszałym mieszkaniu.

W dusznym i gorącym pomieszczeniu Emil podszedł do okna, otworzył je i stał chwilę w lekkim strumieniu powietrza, patrząc na dziedziniec, gdzie pracownicy popijali w słońcu przedpołudniową kawę.

– Głodny jesteś? – usłyszał i odwrócił się.

– Tak, Ewert, trochę, ale...

– Bo najpierw pływałeś w basenie, potem poszedłeś ze mną do archiwum między zakurzone akta z dochodzeń. Nawet sobie popatrzyłeś, kiedy strzelałem jak ostatnia łamaga. A potem... się ze mnie naśmiewałeś!

– Owszem, jestem głodny, ale...

– To co zwykle? Wczoraj chyba doładowali automat, więc w odległości zaledwie kilku kroków jest wszystko. „Skleplik”, jak mówi twój młodszy brat. Jest twoja ulubiona kanapka z chrupkiego chleba z serem i okrągłe ciasteczka z czymś czerwonym na brzegach, i nawet ten napój w kartonie, którego nazwy nie potrafię spamiętać.

Inspektor już ruszał, kiedy Emil go zatrzymał.

– Dziś nie będzie żadnego automatu.

– Nie? Zazwyczaj to lubisz.

– Dzisiaj to ja zapraszam.

Chłopiec z bardzo zadowoloną miną otworzył torbę i spod kąpielówek i mokrych ręczników wyjął po kolei trzy plastikowe pojemniki; ustawił je na chybotliwym stoliku.

– Siadaj, Ewert.

Grens zerknął z zaciekawieniem i opadł na podniszczoną kanapę obitą sztruksem.

– Dziś to ja przygotowałem drugie śniadanie – oznajmił chłopiec. – Poznajesz?

W najmniejszym pojemniku znajdowała się odrobina dżemu truskawkowego. W średnim nieco większa ilość konfitury z borówek. A pod pokrywką największego pojemnika leżała spora sterta porządnie ułożonych naleśników.

Naleśników w kratkę.

Inspektor uśmiechnął się. Tym swoim miłym uśmiechem, od którego robiło się ciepło w środku. Dla którego warto było żyć.

– Oj tak, poznaję.

Tamtego wieczoru został po raz pierwszy sam z dwoma synami Pieta Hoffmanna. Grens, który wcześniej nigdy nawet nie odbył porządnej rozmowy z dzieckiem. Był przerażony. Onieśmielony. W końcu obaj chłopcy wygrzebali skądś gofrownicę, bo najlepszy sposób, żeby się z kimś poznać, to smażyć razem naleśniki.

Pod mokrymi ręcznikami w plecaku Emila było jeszcze więcej rzeczy. Papierowe talerze i plastikowe sztućce.

– Spróbuj, Ewert. – Chłopiec wziął naleśnik, posmarował dżemem truskawkowym i położył sobie na talerzu; następnym, z konfiturą borówkową, położył na talerzu inspektora. – Mąka, jajka, mleko, masło, sól. Usmażone na gofrownicy. Dokładnie tak samo jak wtedy.

Tamtego wieczoru Ewert Grens gapił się na gofrownicę i nie wiedział, co powiedzieć.

– Wiesz co? Nie sądzę, żeby to służyło do robienia naleśników.

– Właśnie że tak. Widzi pan? Tu się nakłada ciasto.

Rasmus, młodszy brat Emila, był absolutnie pewien swego, kiedy podnosił i opuszczał górną część gofrownicy, jak dorosły.

– Zamykamy pokrywę i trochę czekamy. Tak powstają prawdziwe naleśniki.

Teraz Grens i Emil zerknęli na siebie, wspominając swoje pierwsze spotkanie.

Dwunastoletniego dziś chłopca z sześćdziesięcioletnim inspektorem policji kryminalnej, między którymi nieoczekiwanie zrodziła się przyjaźń.

Dwóch osób, którym z różnych powodów brakowało zaufania do ludzi i które miały trudności z nawiązywaniem kontaktów społecznych. Teraz siedzieli obok siebie w gmachu komendy policji i zajadając naleśniki w kratkę, myśleli, że życie nie jest takie złe.

– Pamiętasz, że muszę za chwilę wyjść? – spytał Grens. – Na inne spotkanie?

– Tak. Pamiętam też, że nie odpowiedziałeś mi na pytanie, dokąd idziesz.

– No więc muszę się przebrać. W... trochę lepsze ciuchy. Ale podrzucę cię do domu, jadąc na to spotkanie.

– Hm... mówięś. Ale nie powiedziałaś, dokąd jedziesz. Ani z kim się spotkasz.

Inspektor sięgnął do wąskiej szafy przeznaczonej na mundur, którego nigdy nie nosił, i wyjął garnitur w plastikowym worku z pralni chemicznej. Całkiem dobrze leżał na starszym panu o niezbyt wysportowanej sylwetce. W tylnej kieszeni spodni Grens miał grzebień i kiedy już przyczesał resztkę włosów, spojrzął do lustra po wewnętrznej stronie drzwi szafy.

Stał odwrócony plecami do swojego wścibskiego gościa, tak że ten nie widział rumieńca na jego twarzy.

– Ze starą znajomą. Tylko tyle.

– „Tylko”? Nigdy nie widziałem, żebyś się tak wystroił.

– Czasem... cóż, czasem tak wypada.

– Wypada?

– Aha.

– Odwróć się, Ewert.

– Chyba muszę...

– Zaczzerwieniłeś się! Prawda? „Starą znajomą”? No tak! Nie tylko ty potrafisz myśleć.

Na twarz Grensa wrócił ten uśmiech, rozgrzewający pierś i trzewia aż do głębi.

Ależ mu w końcu dobrze!

Czasem spotyka się z dwoma fajnymi synami Hoffmanna, lubi ich i z nimi rozmawia, nieraz nawet nazywają go ni-by-dziadkiem, chociaż kompletnie nie zna się na dzieciach. A teraz – Emil miał rację – stał przed lustrem, szukając się do spotkania z jeszcze jedną osobą, którą lubił... w inny sposób... i jeśli dopisze mu szczęście, może ona też go odrobinę polubi.

Nieznający się na ludziach Ewert Grens miał właśnie rozstać się z młodym człowiekiem, którego nauczył się rozumieć, i

spotkać się z inną osobą.

Przezeszał grzebieniem włosy i właśnie zaczął zrywać z rękawów i nogawek garnituru ostatnie kawałki ochronnego plastiku, kiedy zadzwonił telefon stacjonarny na biurku. Rzadko ostatnio dzwonił. Bezpośredni wewnętrzny numer.

- Ewert?
- Tak?
- Wiesz, kto mówi?

Grens spojrzął przez okno w stronę większego budynku po drugiej stronie wewnętrznego dziedzińca i wychylił się trochę, żeby zobaczyć dziewiąte piętro, okno pomieszczenia, z którego, jak się domyślał, dzwoniło.

- Wiem, kto mówi.
- Potrzebuję twojej pomocy.

Pociągnął za jeden rękaw uwolniony wreszcie od plastiku i sprawdził, czy się nie skurczył i wciąż sięga nadgarstka.

- Kiedy? - rzucił.
- W tym momencie.

Jeszcze raz przeciągnął grzebieniem, bo niesforne włosy wciąż były po niewłaściwej stronie głowy.

- Nie mam teraz czasu. Przykro mi. Idę na ważny lunch. A wcześniej muszę odwiedzić do domu ważnego gościa. Ale zajrzę wieczorem. Albo jutro.

- Ewert?
- Tak?
- Nie dzwoniłbym, gdyby to nie było bardzo pilne.

Inspektor spojrzął w lustro.

- Jak pilne?
- Dokładnie za godzinę i dwadzieścia siedem minut będzie już za późno.

(legalny podsłuch telefonu komórkowego C,
KARLAVÄGEN 71)

- Halo? Ledwo cię słyszę.
- Kiepski zasięg. Stoję na klatce schodowej, przed samym mieszkaniem.
- To powtórz. Ile?
- Trzydzieści siedem.
- Ma być dokładnie. U wszystkich!
- Neda siedem. Inesa cztery. Tania siedem. Antea siedem. Estela cztery. Pija osiem.
- Jaki rodzaj?
- Numer dwa. Te prawie przezroczyste. Z dwoma paskami pośrodku.

NEDA POCHYLIŁA SIĘ, PRZYBLIŻAJĄC twarz do chłodnej szyby, chociaż wiedziała, że zostaną brzydkie ślady zakłócające widok z okna. Nie cofnęła się jednak, bo chciała popatrzeć na ludzi idących przez podwórze. Pięć pięter w dół wszyscy zmierzali do miasta, do Sztokholmu, w którym właściwie nigdy nie była.

Piękny poranek, dziwnie jasny, niebo pomalowane na niebiesko, a w kominie domu naprzeciwko odbijało się słońce.

Prawie czuła zapach powietrza na zewnątrz.

To była świetna kuchnia, białe kafelki i wyciąg ze stali nierdzewnej, dużo miejsca przy okrągłym drewnianym stole. Popijała kawę, która zaczęła już stygnąć, podczas gdy druga filiżanka czekała jeszcze pusta; Inesa lubiła poleżeć w swoim pokoju – ludzie bardzo różnie zaczynają dzień.

Neda nasłuchiwała.

Jego kroków na kamiennych stopniach schodów i potem, jak wchodzi przez drzwi mieszkania.

Zaraz się zatrzyma. Zawsze w połowie drogi przez przedpokój, zawsze przed lustrem w złotej ramie. Głośno wysmarka nos, a potem odwróci je tak, jak trzeba.

Nie spojrzała na niego, gdy wszedł do kuchni, zresztą już nie starał się pochwycić jej spojrzenia. Początkowo próbował; wtedy patrzyła na jego szyję, podbródek, uszy – gdziekolwiek, byle nie w oczy.

Erki.

Miał to poczuć.

Nigdy w nią nie wejrzy.

Odstawił brązową skórzaną teczkę, otworzył ją i wyjął nie-dużą torebeczkę, po czym głośno licząc – *vienas, du, trys, keturi, penki, šeši, septyni* – odłożył na kupkę na stole obok jej filiżanki. Policzył jeszcze raz – *vienas, du, trys, keturi* – i kolejną kupkę przesunął w stronę pustego miejsca na stole.

– Dla ciebie siedem. Dla Inesy cztery.

Neda przyjrzała się prezerwatywom.

Dwa jasne paski mniej więcej pośrodku; wcześniej nie dostawały takich.

Począł, aż na niego spojrzy, ale się nie poddała, chwycił więc teczkę i skierował się do przedpokoju.

– Do zobaczenia.

Przełknęła ślinę; jej głos powinien brzmieć mocno.

– Do zobaczenia... Czyli kiedy?

Zamknął za sobą drzwi, nie odpowiedział.

Zastanawiała się, czy będzie to jeden z tych dni, kiedy po pięciu minutach wróci, żeby potem tkwić w kuchni przez całe przedpołudnie, czy będzie wracać kilka razy na krótko i bez ostrzeżenia.

Jeszcze jedna filiżanka kawy. Wypiła połowę, kiedy zadzwiecał dzwonek. Zatrzymała się w połowie drogi przed lustrem, patrząc obok, jak przedtem na Erkiego, i odwróciła je szkłem do ściany, zanim jej palce zamknęły się na klamce.

Nie widząc go, pomyślała. On nie widzi mnie.

Ten gość był zawsze uprzejmy i czekał na zewnątrz, chociaż teraz mogli już sobie sami otwierać za pomocą okrągłego kawałka plastiku, który piszczał po przyłożeniu do zamka. Dygnęła, jak od niej oczekiwano, i powiedziała „Witam”, a gość podziękował. Zaprosiła go, żeby poszedł za nią, i poprowadziła do swojego pokoju.

Gość. Tak miała ich nazywać.

Rozebrała się. On również. Sięgnęła do stolika nocnego po pierwszą z siedmiu prezerwatyw.

Nie wziął jej od niej.

– Nedo, spójrz na mnie.

Widziała jego szyję i policzek, patrzyła ponad nim i przez

niego, ale nie na niego.

– Słuchaj, może bez prezerwatywy? Jak ostatnim razem. Tak, jak to czasem robimy. Proszę...

– Mogę ci pomóc ją założyć. – Nadal wyciągała w jego stronę rękę z prezerwatywą.

– Ale chcę być w tobie. W tobie tak naprawdę.

– Nie mam odwagi. Już nie.

– Jestem zdrowy.

– Nie o to chodzi.

– Więc o co? Ja zyskuję, ty zyskujesz.

Bo wszystko się musi zgadzać.

Bo wieczorem Erki zabiera wszystkie prezerwatywy i przekazuje do rąk, które je liczą.

I każda niezgodność oznacza, że mój dług u nich rośnie.

– Bo tak – rzuciła.

Jej pierwszy gość tego dnia zrobił zawiedzioną minę i wziął cienki gumowy zasobnik – a potem upuścił go na podłogę. Wstał i poszedł po portfel znajdujący się w wewnętrznej kieszeni marynarki. Trzy nowiutkie pięćsetki. Położył je na poprzednich.

– Trzy dla ludzi, u których rezerwuję wizytę. Tyle samo dla ciebie. Jeśli ładnie poproszę...

Trzy pięćsetki do zaksięgowania.

Trzy tylko dla niej.

Położyła się na wznak, on na niej, a błona, która miała ich rozdzielać, została na podłodze.

Szukał jej wzroku, a ona patrzyła na jego czoło, na jego szyję. Nie widzę ciebie. Ty nie widzisz mnie.

Zamknęła oczy, szukając jasnej plamki pod powiekami, która rosła i nabierała kolorów – tak jak wtedy, kiedy była mała i czekała, aż wszystko będzie dobrze i znów będzie mogła spojrzeć.

Leżała nieruchomo, kiedy kończył.

Nie czuła, żeby coś wypłynęło, żadnego ciepła, nic.

Leżała, kiedy wstawał, ubierał się i dziękował.

Gdy jego kroki ucichły, sięgnęła ręką, szukając nieużywanej prezerwatywy, która została gdzieś na dywanie – trzeba natapać do niej jak najwięcej z tego, co z niej wypłynie.

(legalny podsłuch telefonu komórkowego C,
ÖSTGÖTAGATAN 76)

- Stoję przed drzwiami.
 - Wizyta zarezerwowana i opłacona.
- Zielone światło, proszę otworzyć czipem,
jest zaprogramowany na JEDNĄ wizytę.
- Chciałbym mieć pewność.
 - Może pan mieć pewność.
 - Nie będzie żadnych okruchów
skawalonego tuszu do rzęs? Jakby były
ciężkie od grubych warstw tego czarnego
błocka na czubkach rzęs, które wygląda jak
jakiś ohydny klej?
- Na pewno.
 - I żadnych rajstop, które wydają
się całe, ale jak się przyjrzeć, to są
pozaciągane?
- Na pewno.
 - Żadnych odprysków czerwonego lakieru
na obu kciukach?
 - Nie. Żadnych mankamentów.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).